Choinka w Zimowym Ogrodzie

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka" i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba", przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (…) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak

więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połągi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria" dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki.

Kretynga, po lewej stronie pałacu Ogród Zimowy, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyngą a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich

domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął tworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-to letnia Fraulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko". Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem , a panna Retty z braku głosu „*ślicznie gwizdała*". Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii Zimowego Ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych

palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwactwa. (…)

Kretynga według Napoleona Ordy.

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz byl wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam

schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty" na pantofle, „kolonki", na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek *„niech cię kaczki podepczą"* czy *„na pochyłe drzewo kozy skaczą"*. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, *„a po co to wszystko"*, *„nic z tego dobrego nie wyniknie", "a po co pani hrabina tego tyle kupuje", „po co tyle pieniędzy wydawać" itd.* W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (…)

Kretynga według Napoleona Ordy.

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołędziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Połągowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji

odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne *„l'argent de garde”.* Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nie umiał sobie z tym poradzić. (…) Najstarszy Oleś wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Tyszkiewiczowie, portret rodzinny wiszący w pałacu w Kretyndze, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom

wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję" od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zaspał, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że książę pan jedzie. Po czym wysiadał książę Michał, mały, czarny, z długim, podkręconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w

sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem.Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora. W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek.. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą. (…)

Na Żmudzi życie toczyło się więc ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów i dziećmi przenieśli się z Landwarowa do Kretyngi po Powstaniu Styczniowym.